

# Bez nadziei życie jest beznadziejne

Z Januszem Majewskim o Lwowie, wojnie, Krakowie i filmie rozmawia Mirosław G. Majewski

**Mirosław Majewski:** – Lwów, dla wielu jest miejscem magicznym. Czy takim jest też dla Pana?

**Janusz Majewski:** – Lwów jest miastem mego urodzenia, był moją małą ojczyzną, więc kiedy mnie z niego wykorzeniono siłą rzeczy stał się krainą mityczną, miejscem mojej nostalgii, ale czy jest miejscem magicznym? Tym mianem obdarzamy miejsca obce, nowo poznane, które nas oczarowują swoją atmosferą, ulegamy ich magii, żyjemy tym jak zaczarowani, aż do wyjazdu, po spędzeniu tam krótszego, lub dłuższego czasu, a potem wracamy we wspomnieniach, dopóki magia się nie ulotni. Dla tubylców to konkretne miejsce, konkretne przywiązanie, konkretna miłość, nie coś ulotnego, jak magia.

– Zanim dojdziemy do Krakowa, zatrzymajmy się na chwilę, w małej, podkarpackiej wsi, Pantalowice...

– Uciekliśmy ze Lwowa mając tylko pół godziny na zapakowanie się do czterech walizek (jednej na osobę), bo ojciec został ostrzeżony, że jego komórka AK wpadła i zaczęły się aresztowania. Wywiózł nas jakiś Austriak za sowitą zapłatą, ciężarówką, schowanych za belami bawełny. Jechaliśmy do Pantalowic, bo tam moja mama miała wuja, księdza proboszcza i liczylimy na jego opiekę. Z tą opieką było różnie i tam dogoniła nas wojna w najczystszy wydaniu: przez wioskę przeszedł front, na naszych oczach rozegrała się bitwa, którą obserwowałem jak scenę w filmie batalistycznym. I jak w takim wojennym obrazie, tuż przede mną kryjącym się w lichej ziemiance, padł młody żołnierz rosyjski trafiony kulą prosto w czoło. Można powiedzieć, że zobaczyłem jego śmierć na zbliżeniu, w tej sekwencji bitwy. Tego zbliżenia nigdy nie zapomnę. Po różnych wydarzeniach i po paru miesiącach spędzonych na wsi, a potem w małym mieście Przeworsku, kiedy Kraków został wyzwolony, pojechaliśmy tam. Mieszczuchy wróciły do miasta, do Lwowa już nie było po co wracać. Opisałem to wszystko w książce, a potem w filmie „Mała matura”.

– Jesteśmy w Krakowie, w niezbyt ciekawym okresie politycznym, kiedy hasło: **Bóg, honor, ojczyzna, nie ma najlepszych konotacji. Jak wyglądało życie nastolatka, gimnazjalisty, licealisty w tamtym czasie?**

– Pierwsze dwa lata zapamiętałem jako okres ciężki, ale optymistyczny: skończyła się wojna, ludzie z zapałem zabrali się do odbudowy,

życie zaczynało się normalizować. W kinach, obok radzieckich, pokazały się filmy zachodnie: wojenne angielskie (pamiętam do dziś tytuły: „San Demetrio”, „Jeden z naszych samolotów zaginął”, „Nieuchwytny Smith” z Leslie Howardem), francuskie („Skarb rodziny Goupi” Jacquesa Beckera, „Komedianci” Marcela Carne) i wreszcie amerykańskie („Mściwy jastrząb” Howarda Hawksa, „Serenada w Dolinie Słońca” z orkiestrą Glenna Millera) a wraz z nimi jazz, który nas zafascynował. W Krakowie dużo się działo, bo miasto przyjęło najpierw falę warszawskiej inteligencji, po upadku powstania, potem wygnańców ze Lwowa. Zaczęły grać teatry, ukazywać się książki, pierwszy numer „Przekroju” wyszedł 15 IV 1945 roku, jeszcze nim padł Berlin i od razu stał się naszą wyrocznią: informował, komentował, uczył dystansu, poczucia humoru. Na prowincji, w lasach trwały jeszcze walki reżymu z podziemiem, ale do Krakowa to nie docierało, przynajmniej my, czternasto – piętnastolatki nie wiele o tym wiedzieliśmy, może po prostu nas to jeszcze nie interesowało. Dopiero pogrom kielecki, a potem referendum „3 x tak” nami wstrząsnęły. Znowu odsyłam do mojej „Małej matury”, książki i filmu.



Janusz Majewski.

Fot. Marcin Kułakowski, PISF

– **Poznaje Pan Sławomira Mrożka, obraca w środowisku artystycznej bohemy Krakowa, czy w tamtym czasie długo czekało się na kelnera w restauracji?**

– No, z tym obracaniem się wśród artystycznej bohemy, to duża przesada. Pretendowaliśmy do niej i to później, kiedy zaczęliśmy stawiać pierwsze kroki, ale ja wyjechałem na studia filmowe do Łodzi i już nigdy na dobre do Krakowa nie wróciłem.

Spędziłem w nim tylko dziesięć powojennych, młodzieńczych lat, pomimo to często słyszę: ty rozumiesz te klimaty, przecież jesteś z Krakowa. Cóż, widocznie rzeczywiście: czym skorupka za młodu nasiąknie... Co do czekania na kelnera, to rozumiem do czego Pan pije (nomen omen). Chodzi o mój film

absolutoryjny w szkole filmowej: „Rondo”, w którym zagrał Mrozek, a także drugi Krakus, kolega ze studiów na Architekturze, Stefan Szlachtycz. W tej surrealistycznej grotesce oni m.in. tańczyli tango (gość z kelnerem!). Rzeczywiście była to epoka cichej wojny, bojkotu gości przez kelnerów i pewnie to było jakimś zarzewiem mojego scenariusza, ale ten krótki film był tylko metaforą z ambicjami egzystencjalnymi. I jak teraz widzę, w jakiś sposób, nie chcąc zdeterminował naszą przyszłość: Mrozek napisał „Tango”, co otworzyło mu sceny świata, Szlachtycz zdecydował się pójść moim śladem do szkoły i potem został długoletnim naczelnym reżyserem telewizji polskiej, a ja po latach odkryłem Marka Kondrata i dałem mu pierwszy impuls do zawodowej kariery, rolę kelnera w „Zaklętych rewirach”. Puenta jest taka: grubo po tym wszystkim dostaliśmy z Markiem tytuły „Honorowych Prezesów Krajowego Stowarzyszenia Kelnerów”. Marek jeszcze do dziś jest częstowany w różnych restauracjach dobrymi trunkami i kiedy chce płacić, zawsze słyszy, że „od kolegi nie bierzemy”.

– **Należy Pan do nielicznych reżyserów, którzy nie dali się zaprząć do kręcenia socrealistycznych, fabularnych agitek na zamówienie władz PRL. Jak Panu udało się tego uniknąć?**

– Śmiesz mnie wyobrażenie o PRL młodych, żyjących dziś ludzi, zbudowane na wersji współczesnych historyków, którzy tworzą ją przez przyzmat tych żalonych teczek. Co innego było działanie opozycji i walka z nią aparatu władzy, co innego fatalna sytuacja ekonomiczna i społeczna kraju pod „dyktaturą proletariatu”, czyli jak to określali marksisci „baza”, a jeszcze co innego „nadbudowa”, żeby pozostać przy tej drętwej teorii, czyli najogólniej mówiąc kultura. Oni mimo wszystko nie byli w stanie kontrolować myśli jednostek, wydawało się im, że kontrolują świadomość mas, ale jednostki prawdziwie wolne duchowo, pozostają wolnymi nawet przykute łańcuchem do ściany lochu. Dlatego mieliśmy w tamtych czasach sztukę wybitną, budzącą podziw świata, ponieważ była tworzona przez ludzi uciskanych, ale wolnych duchem. Mam na myśli i literaturę, i teatr, i plakat, i muzykę, a w końcu nawet i film. Oczywiście, Zachód interesował się naszą sztuką z powodów politycznych, zdawali sobie sprawę, że każde takie dzieło, to pęknięcie na skorupie socjalizmu, ale przecież nie wszystko miało kontekst polityczny.

(Dokończenie na stronie 4)